

Kryzys demokracji. O genezie i skutkach zamachu majowego

ROZMOWA REDAKCYJNA Z ANDRZEJEM FRISZKEM,
JANUSZEM MIERZWĄ I IZABELĄ MRZYGŁÓD

PROWADZENIE: MARCIN ZAREMBA¹

Stefan Chwin, literat, zapytany niedawno o polityczne spory i podziały rozrywające polskie społeczeństwo, powiedział, że te współczesne mają się nijak do tych sprzed zamachu majowego. Miał rację?

Janusz Mierzwa: Jedną z najważniejszych różnic – mieszkańcy II Rzeczypospolitej byli społeczeństwem powojennym. Wielka Wojna, konflikt polsko-bolszewicki pozostawiły po sobie wysoki poziom agresji w stosunkach międzyludzkich, brutalizację postaw. Większość szanujących się formacji politycznych dysponowała wówczas własną bojówką. Broń była w powszechnym posiadaniu. Pierwsze lata powojenne to problem bandytyzmu, do końca swojego istnienia II RP nie poradziła sobie ze zjawiskiem kłusownictwa. Wreszcie trudna do zdefiniowania mętna atmosfera, która poprzedzała przewrót majowy. Różne tajne organizacje, sprysiężenia, za którymi ciągnęło się przekonanie, że ich członkowie mają jeden cel: wywrócić układ.

Wojna zawsze pozostawia ślad w zachowaniach społecznych. Przesuwa granice tego, co dozwolone.

Andrzej Friszke: Do tego obrazu dorzuciłbym jeszcze dwie rzeczy, które różnią sytuację ówczesną od dzisiejszej. Po pierwsze, choć państwo polskie powstało, to jednak nie dla wszystkich było oczywiste, że ma dalej trwać. Było czymś nowym i wymagało ułożenia się Polaków w formule państwowej. Po drugie, rzecz bardzo różniąca się od dzisiejszej rzeczywistości to tzw. mniejszości narodowe i zasady współżycia z nimi.

¹ Andrzej Friszke (PAN, Instytut Studiów Politycznych, ORCID 0000-0001-8793-6079), Janusz Mierzwa (Uniwersytet Jagielloński, Instytut Historii, ORCID 0000-0003-0534-1958), Izabela Mrzygłód (PAN, Instytut Slawistyki, ORCID 0000-0002-7312-9361), Marcin Zaremba (Uniwersytet Warszawski, Wydział Historii; PAN, Instytut Studiów Politycznych, ORCID 0000-0001-5411-6306).

Mniejszością, która nie występowała przeciwko państwu, byli Żydzi. Mieli oczekiwania wobec niego, domagali się szeregu praw, co budziło wiele kontrowersji. Ale nie mieli żadnych projektów o charakterze secesyjnym. Inaczej sprawa wyglądała na polskich granicach. Pierwsze i najważniejsze zagrożenie stanowiła Rosja bolszewicka, która wspierała irredentę na Kresach. Mimo traktatu ryskiego długo jeszcze zakładała w swojej polityce likwidację państwa polskiego. Do 1924 r. Rosja przrzucała oddziały partyzanckie, grupy uderzeniowe, nawoływała do antypolskiego powstania. Tego typu działania miały miejsce na tzw. zachodniej Białorusi i Wołyniu.

Postawę ludności białoruskiej i ukraińskiej można określić jako labilną, tzn. istnienie państwa polskiego nie było ani oczywiste, ani specjalnie oczekiwane. Nie spełniało oczekiwań tej ludności, głównie socjalnych, dotyczących przede wszystkim parcelacji i przejęcia ziemi polskich dziedziców. Na konflikt narodowy z polską administracją nakładał się więc konflikt klasowy „z polskimi panami”. Ważnym tematem sporu była ustawa oświatowa z 1925 r., która przez mniejszości narodowe została uznana za absolutnie niewystarczającą. Wszystko razem stanowiło potencjał wybuchowy, który może nie byłby tak groźny, gdyby nie imperializm sowiecki.

Zakreślony przeze mnie obraz jest niepełny z oczywistych powodów. Brakuje w nim irredenty ukraińskiej na terenie Galicji. Narodowy ruch ukraiński uważał, że Ukraińcy znaleźli się pod okupacją polską. Zostali pobici w 1919 r., mieli poczucie świeżej krzywdy, nie chcieli być obywatelami państwa polskiego. Wszystkie te kwestie oczywiście rzutowały na polsko-polskie podziały i konflikty.

Opisana sytuacja kształtowała dwie postawy po stronie polskiej. Pierwszą twardą, nacjonalistyczną koncepcję państwa narodowego. Tylko Polacy mają prawo rządzić w Polsce, to jest nasze państwo, inni mają się tylko podporządkować. Pogląd ten reprezentowała Narodowa Demokracja i jej akolici. Drugą wyrażał ruch lewicowy, tkwiący w wyobrażeniach romantyzmu, że da się doprowadzić drogą porozumienia do zbudowania z częścią mniejszości wspólnoty państwowej. Takie opinie i wyobrażenia odnajdziemy w programach socjalistów, radykalnych ludowców, tego typu myślenie podzielał – jak się wydawało – także Józef Piłsudski ze swoim otoczeniem.

Był to spór o ustrojowe imponderabilia, czy Polska ma być państwem narodowym, czy obywatelskim. Okiem cyklonu okazała się w 1922 r. sprawa Gabriela Narutowicza, kiedy doszło do konfrontacji tych dwóch wizji. Do 1926 r. oba obozy były w kłinczu, ze wskazaniem na endecję jako mającą przewagę.

To sprawy wewnętrzne, ale w 1925 r. doszło do pogorszenia sytuacji zewnętrznej. Układ w Locarno między Niemcami a mocarstwami zachodnimi gwarantował wytyczone w Wersalu powojenne granice na zachodzie, ale pomijał granicę polsko-niemiecką. Tymczasem na początku 1926 r. został zawarty układ radziecko-niemiecki, który zwiększył poczucie zagrożenia. ZSRR odrzucał układ wersalski, potępiał porządek wersalski, a Niemcy czuły się nim pokrzywdzone. Powstawał więc kolejny znak zapytania.

Podsumowując, to konsekwencje wojny i mozaika etniczno-polityczna II RP, by sparafrazować tytuł sprzed lat książki Jerzego Holzera, legły u podstaw maja

1926 r. Ale czy nie należy dorzucić do tego rządów ideologii, które zaborczo narzucały miejsce jednostki w świecie?

Izabela Mrzyglód: Odniosę się do ideologii, jednak rozumianej po mannheimowsku, czyli jako pewien rodzaj kolektywnie wytworzonej wiedzy, uwikłanej społecznie i politycznie, która organizuje myślenie o świecie. W okresie międzywojennym mamy do czynienia z modernistycznym radykalizmem, który był dyspozycją łączącą różne nurty polityczne. By zrozumieć ówczesne działania aktorów politycznych, musimy wziąć pod uwagę ramy ich myślenia, których podstawę stanowiły dążenie do daleko idącej zmiany istniejącej rzeczywistości i gotowość do sięgnięcia po pozaprawne i radykalne środki działania politycznego, takie jak łamanie prawa czy przemoc. Demokracja liberalna nie była wartością samą w sobie, a totalna krytyka zastanego porządku domagała się interwencji na wszystkich możliwych poziomach: politycznym, społecznym, kulturalnym. Zdefiniowanie zaś przeciwnika jako zagrożenia i zła – ze złem się nie dyskutuję, ze złem się walczy – narzucało akceptację tych radykalnych działań, ostrego podziału na naszych i swoich. I tego typu myślenie odnajdziemy w tekstach członków Polskiej Partii Socjalistycznej (dalej: PPS), narodowców czy przyszłych publicystów sanacji.

Przykładem tych ostatnich może być Adam Skwarczyński, który w wielu artykułach z lat 1924–1926 podnosił temat upadku parlamentaryzmu, partyjniactwa czy zatrucia społeczeństwa mentalnością zaborową. W ten sposób definiował głęboki kryzys polskiej polityki i kultury. Jak pisał Reinhart Koselleck, pojęcie kryzysu jest jednym z kół zamachowych nowoczesności, podobnie jak „postęp”. Diagnozowanie kryzysu i jego krytyka często w XX w. napędzały konflikt polityczny i dążenie do zmiany, która mogła przybrać wizję rewolucji czy utopii. I gdy pod tym kątem popatrzymy na publicystykę Skwarczyńskiego, to zobaczymy radykalizm piłsudczyków i ich zanurzenie w nowoczesnej ideologii.

A co z gospodarką, napięciami o charakterze strukturalnym?

I.M.: Był oczywiście konflikt klasowy, który w pamięci zbiorowej spychamy w niebyt. W 1918 i 1919 r. silnie ujawniło się realne napięcie pomiędzy klasami ludowymi a przemysłowcami i ziemianami. Na wsi miały miejsce ogromne strajki robotników rolnych, powstał związek zawodowy robotników rolnych, który domagał się zasadniczych zmian i praw pracowniczych. Wśród inteligencji widoczny był lęk przed rewolucją, która dokonywała się w Rosji, ale też na Węgrzech i mogła przydarzyć się również Polsce. Rząd lubelski na czele z Ignacym Daszyńskim realizował program socjalistyczny, ale reformy społeczne wprowadzane przez rząd Jędrzeja Moraczewskiego, a później kontynuowane przez rząd Ignacego Jana Paderewskiego, były też pewną kalkulacją polityczną i miały rozładować napięcie społeczne. Również w 1920 r. w czasie wojny polsko-bolszewickiej rządzący bali się o lojalność chłopów wobec państwa, stąd naprędce ogłaszana zapowiedź reformy rolnej.

Dlaczego o tym wspominam? Bo po stronie prawicy ten strach przed rewolucją wrócił także w czasie zamachu majowego – legenda Piłsudskiego jako socjalisty była wciąż silna. Jednak obawa przed rewolucją blokowała również piłsudczyków

przed sięgnięciem po wsparcie formowanych przez socjalistów oddziałów robotniczych. Piłsudski nie chciał być utożsamiany z żadną siłą rewolucyjną, nie ufał masom.

Gdy mówimy o genezie przewrotu, to obok zabójstwa Narutowicza, który już się pojawił w dyskusji, musimy pamiętać o tzw. wypadkach krakowskich w okresie hiperinflacji. Za rządów Wincentego Witosa w 1923 r. inflacja przeszła w hiperinflację, w ciągu pół roku ceny wzrosły dramatycznie, co doprowadziło do ogromnego niezadowolenia społecznego. W Krakowie w listopadzie 1923 r. wystąpienia robotnicze zostały krwawo stłumione przez wojsko. Do starć doszło również w Borysławiu i Tarnowie. Pamięć tych wydarzeń napędzała PPS w 1926 r. do ostrego wystąpienia przeciw „włościańskiemu-burżuazyjnemu” rządowi Witosa.

I za tym stała bardzo silna negatywna emocja społeczna i lęk przed powtórką, szczególnie wśród ludności miejskiej żyjącej z pensji, w którą spadek wartości marki polskiej uderzył w 1923 r. najmocniej. To też mogło pchnąć warszawskich robotników do opowiedzenia się w czasie walk po stronie zamachowców.

A.F.: Przed zamachem liczba bezrobotnych wzrosła w ciągu kilku miesięcy do 300 tys. Wiosną zaczęły się rozruchy...

J.M.: Stryj, Włocławek, Kalisz. Sytuacja ekonomiczna kraju w 1925 r. rzeczywiście była bardzo trudna. Przypomnijmy, że w czerwcu Niemcy wstrzymały zakupy polskiego węgla i innych towarów, rozpoczynając wojnę gospodarczą. Ale warto też poruszyć kwestię kondycji zdecydowanej większości polskiego społeczeństwa – ludności chłopskiej. Jest mniej zintegrowana, bardziej podzielona, mniej skłonna do protestów, ale bez wątpienia rozczarowana brakiem reformy rolnej. Dlatego także sympatie części chłopów były po stronie zamachowców.

Profesor Andrzej Chojnowski na rocznicę odzyskania niepodległości zwrócił uwagę na jeszcze jeden czynnik – psychologiczny. Na łamach „Pomocnika Historycznego Polityki” pisał: „Przewrót majowy nie był więc lekarstwem na realne kłopoty państwa. Odegrał natomiast rolę terapeutycznego zabiegu w sferze psychologicznej dla Piłsudczyków – żyli w przekonaniu o swoich wielkich zasługach i możliwościach. We własnym odczuciu to oni wywalczyli niepodległość, a potem wygrali wojnę ze wschodnią potęgą. Gdy Polska już okrzepla, zostali zepchnięci na margines przez bezmyślny mechanizm demokracji. Wierzyli, że kraj ich nadal potrzebuje, choć może sam o tym nie wie”.

J.M.: Zgadzam się z prof. Chojnowskim, choć uważam, że tego typu nastroje muszą trafić na swój czas. Frustracja tego środowiska nakładała się na strukturalne problemy, o których już mówiliśmy. Ale skoro poruszamy wątek reakcji psychicznych, dominujących przekonań, to zwróciłbym uwagę na poglądy liberalno-lewicowej inteligencji, która w swojej masie uważała, że tracimy czas. Że Polska grzęźnie w niekończących się sporach, że procesy modernizacyjne nie postępują, w każdym razie za wolno. Oczekiwała przyśpieszenia.

A.F.: To, co Pan powiedział, można zilustrować cytataми z artykułów Kazimierza Świtalskiego z lat 1924–1925, jednego z czołowych piłsudczyków, późniejszego premiera i marszałka Sejmu RP. Wskazywał, że grzęzniemy w jałowych sporach,

boksujemy w kwestiach proceduralnych, rządy bez przerwy się zmieniają, a kraj się nie rozwija. Tak dalej być nie może, konkludował. Świtalski wpisywał się w nastroje antyparlamentarne i zarazem je podsycił. Krytykował PPS, czyli sojuszników swojego obozu, za to, że walczy o podwyżki płac dla robotników, popiera ruchy strajkowe, słowem: skupia się na obsłudze interesów jakieś grupy społecznej, tracąc z oczu całość państwa.

Nie będę pytał o przebieg samego zamachu, każdy oddech, każde słowo zostały tutaj pracowicie opisane. Natomiast chciałem Państwa poprosić o interpretację zapisków młodego wówczas socjologa Stanisława Ossowskiego z 12 maja 1926 r.: „Wybiegamy na miasto. Tłumy. Nowy Świat zamknięty. Biegniemy w Bracką. Aleja 3-go Maja zamknięta. Na wiadukcie tyralierka. Ludność podniecona. Jesteśmy zaniepokojeni: czy to aby akcja zorganizowana? Czy to nie spontaniczny odruch kilku oddziałów, który by raz na zawsze pogrzebać mógł sprawę przewrotu? Jakie stanowisko zajął Piłsudski? Dodatki: z «Robotnika» i «Gazety Porannej». Pan Piłsudski zbuntował się! Bogu dzięki! Więc to sprawa poważna. Nareszcie czyn energiczny. Oby się powiodło!”.

J.M.: Zamach wywołał niesłychane emocje: strach, że przewrót może się nie powieść, z drugiej strony nadzieje związane z osobą marszałka, którego otaczała legenda zwycięzcy z 1920 r. Widziano w nim zbawcę, który ocali Polskę. Musimy pamiętać, że ówczesne myślenie było silnie autorytarne. Historię poznawało się poprzez czyny wielkich mężów: Peryklesa, Jagiełły, Napoleona. Jednocześnie należy podkreślić, że Piłsudski miał czystą kartę, trzy lata spędzone w Sulejówku pozwoliły mu wykreować się na jedynego sprawiedliwego. Podobne emocje – strach połączony z nadziejami – ujawniły się w Krakowie i Łodzi. Poza Warszawą jeszcze silniejszy był niepokój wynikający z braku informacji o wydarzeniach w stolicy.

A.F.: Wracając do Ossowskiego. Był lewicowcem. Podobne emocje i poparcie dla Piłsudskiego odnajdziemy w dziennikach Marii Dąbrowskiej. Dla tej formacji ideowej absolutnym wrogiem była endecja. Jej rządy wytwarzały poczucie duszności, zamknięcia. Lewicowa inteligencja odrzucała endecki nacjonalizm, antysemityzm i postrzegany jako anachroniczny tradycjonalizm. Uważała, że tego typu poglądy prowadzą do izolacji od świata, Zachodu, nowoczesnych trendów i idei. Nie akceptowała modelu Polaka katolika. W obozie Piłsudskiego widziała modernizatorów, którzy stworzą lepszy świat, liberalny, otwarty, nie tak zapętlony w tradycyjnej obyczajowości.

I.M.: W dziennikach Ossowskiego urzeka mnie postawa Marii Ossowskiej, która w kluczowym momencie walk gotowa była ruszyć w uniesieniu na Belweder. To dużo oczywiście mówi o postawach radykalnej inteligencji. W tych zapiskach wyłania się również Ossowski jako przyszły socjolog, który uważnie obserwuje warszawską ulicę i dostrzega na niej przedstawicieli klas ludowych. To właśnie robotnicy i biedota wiązali z Piłsudskim ogromne nadzieje. Do tego rzuca się w oczy pewna brawura Warszawiaków, którzy obserwowali sytuację nawet pod ostrzałem. „Robotnik” wyjaśniał te zachowania doświadczeniami rewolucji 1905 roku i udziałem ludności

warszawskiej w strajkach i starciach tamtego okresu, co oczywiście miało budować portret ideowy miasta.

Wróciłabym jednak do wcześniejszego wątku, bo trochę nam z tej dyskusji wychodzi, że zamach był nieunikniony i że wszystkie strukturalne okoliczności się na niego złożyły. Jednak warto pamiętać, że demokracja liberalna to było w Polsce *novum*, a II RP była republiką bez republikanów. Kiedy mówimy o elitach i inteligencji, to widzimy też nieznamość mechanizmów demokratycznych, brak zrozumienia istoty sporu i kompromisu politycznego, świadomości, że różne wartości się ścierają, a rozwiązania muszą być uzgadniane. Dużo powiedzieliśmy krytycznych słów o sytuacji przed 1926 r., ale przecież reforma Władysława Grabskiego odniosła sukces, uregulowane zostały podatki i zaczynały spływać do skarbu państwa. W 1925 r. zdarzył się co prawda kryzys ekonomiczny wynikający właśnie z ustabilizowania waluty, można było jednak oczekiwać poprawy. I ta poprawa koniunktury przyszła, tylko śmietankę z niej spili już piłsudczycy. Na terytoriach wschodnich został powołany Korpus Ochrony Pogranicza, co wpłynęło na uspokojenie sytuacji na granicy. Państwo więc się stabilizowało. I może wystarczyłyby reformy, które usprawniłyby rządy parlamentarne, wzmocniły władzę wykonawczą bez konieczności przeprowadzania zamachu.

A.F.: Ale tego czasu nie było. W listopadzie 1925 r. powstał koalicyjny rząd Aleksandra Skrzyńskiego. Nowym ministrem skarbu został w nim Jerzy Zdziechowski ze Związku Ludowo-Narodowego (dalej: ZLN), który zaproponował zamrożenie, a właściwie obniżenie płac pracowniczych, np. pocztowców czy kolejarzy. Tłumaczył to – co nie odbiegało od prawdy – deficytem skarbu państwa, niemożnością uzyskania zagranicznej pożyczki. Socjaliści, którzy weszli do rządu, z zaciśniętymi zębami zgodzili się na tego typu chwilowe rozwiązanie. Tymczasem Zdziechowski chciał uczynić z niego regułę na dłużej. To jednak było nie do zaakceptowania dla PPS, której groził odpływ części elektoratu do komunistów. W efekcie 5 maja rząd Skrzyńskiego upadł. I ta sytuacja bezpośrednio przyczyniła się do kryzysu. Rzecz jest dobrze opisana w mało znanej książce Wojciecha Morawskiego *Polityka gospodarcza rządu Aleksandra Skrzyńskiego*, wydanej w 1990 r.

Kolejna rzecz. W tym czasie w szeregach endecji zaczęto snuć plany zmiany ustroju politycznego. Zaproponowano i złożono w sejmie projekt zasadniczych zmian w konstytucji. Na agendzie były również zmiany w ordynacji wyborczej, by ograniczyć liczbę Białorusinów, Ukraińców i Żydów w parlamencie. Pod hasłem: „przecież Polacy mogą sami stworzyć większość, po co nam ONI, MY sami zbudujemy sobie państwo”.

Tego typu myślenie wyrażano na łamach prasy, liderzy ZLN tego nie ukrywali. Postulowali także zniesienie ośmiogodzinnego dnia pracy, prawa do strajków i ubezpieczeń społecznych. Mówili: „Polski nie stać na taki luksus”. W obu sprawach podobne poglądy głosił Witos. I gdy popatrzymy na to oczami ówczesnych czytelników gazet, to przyszłość nie jawiła się bezpieczna i stabilna. I w tym momencie powstał rząd Witosy, który nie ukrywał, że chce powyższe

plany wprowadzić w życie. Poparcie przez lewicę zamachu majowego było reakcją na te zagrożenia.

Chciałbym przejść do autorów zamachu majowego. Piłsudski był, o czym doskonale wiemy, miłośnikiem poezji Juliusza Słowackiego. Mam jednak wrażenie, że raczej obczytał się w *Panu Tadeuszu* Adama Mickiewicza, w którym pada fraza: „Szabel nam nie zabraknie, szlachta na koń wsiedzie, Ja z synowcem na czele, i? – jakoś to będzie!”. Okazuje się, że zamachowcy nie mieli żadnych planów po przejęciu władzy. Zamach wyszedł im przypadkiem.

J.M.: Piłsudski układał pasjansy, nie grał w szachy. Jego obraz był efektem auto-kreacji, własnego wyobrażenia o sobie, budowanych i krążących mitów. Wkroczenie do Warszawy na czele skromnego oddziału miało być demonstracją siły, niczym więcej. Piłsudski oczekiwał spotkania z prezydentem Stanisławem Wojciechowskim, który, jak zakładał, ugnie się i zmusi do dymisji rząd Witosa. Planował wymuszenie na prezydencie stworzenia rządu antyendecckiego na czele z socjalistą Zygmuntem Markiem. Ten pomysł zresztą był już przedmiotem zakulisowych rozmów przed 12 maja. Wojciechowski nie poddał się jednak naciskom i koalicja większościowa, składająca się z endeków i ludowców, przedstawiła swojego kandydata w osobie Witosa. Zamach dokonał się więc poniekąd przez przypadek, Piłsudski nie miał scenariusza na następne dni, tygodnie, miesiące. Widać to nieprzemyślenie i niezorganizowanie podczas przygotowań do wyborów do parlamentu w 1928 r. *Ad hoc* powstał Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, ale wcześniej rozważano też umieszczanie swoich ludzi na listach zaprzyjaźnionych organizacji. To wszystko decydowało się w ostatniej chwili. Czwartego marca 1928 r., dzień, kiedy obywatele poszli do urn wyborczych, był ostatnim zgodnym z konstytucją terminem przeprowadzenia wyborów, przesuwany zresztą do samego końca. Dobór ludzi na stanowiska poselskie, ale i do rządu też okazał się dość przypadkowy. W najbliższym otoczeniu Marszałka było niewielu biegłych w sztuce rządzenia; tu pomocni okazali się politycy konserwatywni. Kluczowe było opanowanie administracji i to przeprowadzono za pomocą kilku ruchów – usunięto z niej wąską grupę przeciwników, wprowadzono nowych ludzi (działaczy niepodległościowych, emerytowanych oficerów, raczej znajomych decydentów niż stronników piłsudczyków), a dotychczasowych zaczęto przenosić po to, żeby uzależnić ich bardziej od centrali i oderwać od lokalnych układów, w które wrosli. Ale to są działania głównie z końca lat dwudziestych. A zatem motto zamachu majowego rzeczywiście powinno brzmieć: „jakoś to będzie!”.

A.F.: Nie można jednak zapominać, że ten obóz miał swoje twarde jądro. Było ono zbyt małe, by obsadzić swoimi ludźmi stanowiska w administracji terenowej, jednak te na szczeblach rządowych zostały oddane w ręce miarodajnych piłsudczyków, ludzi sprawdzonych, aktywnych do 1918 r. w Legionach i Polskiej Organizacji Wojskowej, a w latach 1918–1922 – w otoczeniu Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza, m.in. w wywiadzie.

Widać też pewien wspólny mianownik sanacyjnej polityki w tym czasie. Można go sprowadzić do przekonania: nigdy więcej endeków u władzy. Piłsudzycy zdawali

sobie sprawę, że jeśli chcą ich zablokować na dłużej, to muszą przesunąć się do centrum sceny politycznej. W tym celu rozpoczęli rozmowy z Kościołem, z ziemianami i sferami przemysłowymi. To rzecz jasna nie spodobało się lewicy, w efekcie miało miejsce pierwsze tapnięcie poparcia dla powstającego obozu sanacyjnego. Moim zdaniem da się odczytać z jego działań elementy programowe. Po pierwsze, że trzeba doprowadzić do stabilizacji państwa, społeczeństwa i gospodarki. Po drugie, powinno się zbudować zaplecze polityczne dla rządu. Przypomnę postać Stefana Starzyńskiego, już wtedy bardzo ważnego, należącego do tego wąskiego kręgu sanacji. Już wówczas myślał o skoku rozwojowym przy użyciu kapitałów państwowych. Dowodem jest zjazd znawców polityki ekonomicznej w 1928 r. i książeczka z referatami, pt. *Na froncie gospodarczym*, która zawiera diagnozę stanu gospodarki w różnych dziedzinach. Te ambicje rozwojowe załamywały się pod wpływem Wielkiego Kryzysu. Ale nie można o nich zapominać. Powrócono do nich w 1935 r.

Jednym z pomysłów, który po maju 1926 r. udało się wdrożyć, było upowszechnienie arbitrażu państwowego w ramach Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej. Do jego zadań należało łagodzenie napięć między żądaniami robotników a przedsiębiorcami. Kierował tym Główny Inspektor Pracy Marian Klott, piłsudczyk i legionista, postać bardzo ważna. Taka polityka paraliżowała zapędy komunistów, którzy liczyli na rodmuchanie iskieł strajkowych. Te zaś szybko gasły z pomocą arbitrażu, gdy dochodziło do porozumienia między pracodawcami a pracownikami, którzy zwykle otrzymywali niewielką, ale jednak podwyżkę płac. W efekcie po 1926 r. osłabły konflikty klasowe. **I.M.:** Piłsudski nie miał może gotowego pomysłu, ale posiadał jednak zaplecze intelektualne, o którym już wspominaliśmy. Kręgi inteligencji postępowej gotowe były nie tylko dać mu poparcie, ale także dostarczyć fachowców. I tutaj zareklamuję tekst Stephana Stacha z bieżącego zeszytu „Przeglądu Historycznego”, który pokazuje, jak ambitny program względem polityki mniejszościowej miała część środowisk piłsudczykowskich, na czele z Tadeuszem Hołówką. Minister Kazimierz Młodzianowski, który objął tekę spraw wewnętrznych, politykę względem mniejszości próbował zrewolucjonizować i sięgnął po ekspertów z Instytutu Badań Spraw Narodowościowych. Zachęcam do doczytania, jakie faktyczne zmiany to przyniosło i kto stanął na drodze głębokiej reformy polityki narodowościowej.

Oczywiście, ambitne, czasem idealistyczne, plany ustąpiły pragmatyce rządzenia, zadbania o różne grupy interesu. W tejże kwestii mniejszości, podobnie zresztą jak w przypadku reformy rolnej, kluczowe było porozumienie z tzw. żubrami, czyli pielgrzymka Piłsudskiego do Nieświeża i pozyskanie kręgów ziemiańskich, konserwatywnych. Stabilizowało to sytuację polityczną i odciągało te środowiska od endecji, ale blokowało możliwość wielu potrzebnych zmian i prowadziło do fiaska czy to polityki narodowościowej, czy rolnej.

Z pewnością trudno uznać politykę narodowościową sanacji za sukces. Mam na myśli likwidację białoruskiej Hromady, a później, już w latach trzydziestych, walkę z ukraińskimi cerkwiemi. Stosunek urzędników państwowych do Żydów też nie był zbyt empatyczny.

A.F.: Bez wątpienia na polu polityki narodowościowej sanacja sukcesu nie odniosła. Delegalizacja na początku 1927 r. Hromady, wsadzenie kilkuset jej działaczy do więzienia i następnie ich procesy trudno uznać za powód do chwały. Jeśli można to czymkolwiek tłumaczyć, to tylko obawami przed infiltracją ruchu białoruskiego przez komunistów oraz groźbą masowych wystąpień o charakterze powstańczym. Ale pewne zmiany na gruncie administracji lokalnej miały miejsce. Nastąpił wzrost dostępności kredytów dla mieszkańców wsi, nie tylko Polaków, ale też Białorusinów i Ukraińców; zostali oni także objęci rozpoczętą reformą rolną.

Wobec Ukraińców w początkowym okresie tak drastycznych represji nie było, choć ruch ukraiński, z jego samorządnością i autonomią, również budził obawy. Lęk przed ukraińską irredentą podzielały niemałe części społeczeństwa polskiego, które wcześniej głosowały na endecję.

J.M.: Ten brak obaw widać w podjęciu eksperymentu wołyńskiego przez Henryka Józewskiego. Była to próba stworzenia za pomocą środków administracyjnych porozumienia polsko-ukraińskiego. Gdy Józewski został ministrem w rządzie Kazimierza Bartla, powołano w Warszawie Ukraiński Instytut Naukowy oraz podjęto rozmowy z Andrzejem Szeptyckim i Ukraińskim Zjednoczeniem Narodowo-Demokratycznym (UNDO) w sprawie umowy politycznej. Wtedy nic z tego nie wyszło, ale informacje te stały się przyczyną ataków na rząd Bartla ze strony prasy endeckiej. Natomiast takie całkowite zamknięcie odważnych projektów mniejszościowych nastąpiło w 1930 r., gdy Piłsudski zdecydował się na pacyfikację Galicji Wschodniej. Ten moment stanowił cezurę. Państwo nie mogło pozwolić, by Polacy czy lojalni Ukraińcy bardziej obawiali się sabotaży i dywersji ze strony skrajnych nacjonalistów spod znaku Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (dalej: OUN), ale wprowadzenie wojska do działania (a zatem finezja raczej młotka niż skalpela) czy zasady odpowiedzialności zbiorowej wykopywały przepaść, a nie budowały mosty. Jeżeli jednak spojrzymy na tę politykę, to tak jak piłsudscy depolityzowali społeczeństwo polskie pod hasłem „płać podatki, polityką zajmijmy się my”, mniej więcej taki sam przekaz wysyłali do mniejszości. Możecie budować szkoły, ośrodki kultury, rozwijać spółdzielczość mleczarską, ale nie angażujcie się w żadną politykę. Choć pierwsze posunięcia wobec mniejszości należy uznać za obiecujące, to od 1930 r. rozpoczął się stopniowy dryf w stronę poglądów i rozwiązań endeckich.

I.M.: Ten pomysł na depolityzację społeczeństwa oddawało hasło premiera Bartla: „milcz i pracuj dalej”. Obywatele powinni zamilknąć i pracować dla państwa, a decyzje mieli podejmować za nich inni. To oczywiście się nie udało, co szczególnie dobrze widać w przypadku młodego pokolenia, które nie tylko się mocno upolityczyło, ale też się zradykałowało, jak przystało na generację wyrastającą w okresie kryzysu klasycznej nowoczesności.

Ale czy rzeczywiście zmiany były tak daleko idące? Trudno zaprzeczyć, że nastąpiło przejście władzy drogą przewrotu, ale sam system polityczny nie uległ drastycznej zmianie. Rządy powstawały i upadały także pod wpływem działań opozycji. Stolik przewrócił dopiero proces brzeski. System z quasidemokratycznego

za jednym posunięciem stał się twardo autorytarny. Być może więc zamach majowy odegrał mniejszą rolę, jeśli chodzi o dynamikę późniejszych wydarzeń, nastroje społeczne, narzędziowy repertuar? A radykalizację przyniósł dopiero Brześć.

J.M.: Mamy jednak pewną drabinę eskalacyjną, bo przecież już wyborom w 1928 r. towarzyszyły nadużycia (unieważnianie list, zaangażowanie administracji, pieniądze budżetowe na kampanię BB). I to nie przeszło bez echa. To prawda, że tzw. sprawa Czechowicza, czyli pociągnięcie ministra skarbu przed Trybunał Stanu, toczyła się w dotychczasowych ramach prawnych. Opozycja żyła złudzeniami, że może walczyć z sanacją przy użyciu narzędzi walki parlamentarnej. Zgadzam się jednak, że aresztowania brzeskie i to, co się stało w drodze do Brześcia i w samym mieście – znęcanie się i tortury nad działaczami opozycji, pozorowanie ich egzekucji – stanowiło nową jakość.

I.M.: Wcześniej nową jakością był Obóz Wielkiej Polski (dalej: OWP), który powstał w grudniu 1926 r. w odpowiedzi na zamach majowy. OWP otwarcie deklarowało, że chce doprowadzić do zmiany politycznej środkami pozaparlamentarnymi. Miało ono wyprowadzić politykę endecką z parlamentu na ulicę. I to się udało w dużej mierze dzięki napływowi młodych i ich ogromnemu zaangażowaniu. A ten napływ był też odruchem sprzeciwu wobec polityki faktów dokonanych Piłsudskiego, a z czasem wobec sanacji odbieranej jako opresyjny reżim. W Ruchu Młodych OWP pojawiły się wyraźne tendencje faszyzujące. Jego działalność była też zapowiedzią ostrej polaryzacji i radykalizacji lat trzydziestych, kiedy rosła przemoc na uniwersytetach i powołano do życia Obóz Narodowo-Radykalny (dalej: ONR).

Zamach majowy dla prawicy stanowił też wydarzenie głęboko traumatyzujące, podobnie jak zamach na Narutowicza dla drugiej strony, i doprowadził do pęknięcia w społeczeństwie, kiedy drugiej stronie nie podaje się już ręki. Wyraźnie to było widać w środowiskach studenckich, które jeszcze w latach dwudziestych funkcjonowały w ramach tzw. rzeczpospolitej akademickiej. Młodzież Wszechpolska rozwijała już swoją wykluczającą agendę i forsowała wprowadzanie paragrafu aryjskiego w różnych organizacjach, ale działo się to w atmosferze sporu, a nie wojny domowej. Po zamachu to się wyraźnie zmieniło. Na przykład Władysław Kempfi, wszechpolski, wspominał, że po majowych walkach został zorganizowany swoisty bojkot towarzyski młodzieży piłsudczykowskiej i zarządu studenckiej Bratniej Pomocy, który znajdował się w jej rękach. Sprawa brzeska przyniosła więc przełom, ale te cztery lata między 1926 a 1930 r. nie były czasem niewinności.

Czy Piłsudski wiedział, co wyprawia w Brześciu płk Wacław Kostek-Biernacki?

J.M.: Doskonale wiedział, co się dzieje w Brześciu, i to on też podjął decyzję o aresztowaniu konkretnych posłów w nocy z 9 na 10 września 1930 r. Był to jednak ruch wyprzedzający. Na 14 września Centrolew, sojusz PPS z partiami chłopskimi, zaplanował demonstracje w wielu miastach w kraju. Piłsudski i jego otoczenie obawiało się, że sytuacja wymknie się spod kontroli, doprowadzi do zamieszek, konieczności wyprowadzenia wojska na ulice, być może rozlewu krwi. Z dwójga

złego zdecydowano się na punktowe uderzenie w liderów, pacyfikując w ten sposób opozycję. W proteście rozpoczęły się demonstracje, ale ich zasięg i liczba uczestników okazały się niewielkie. Do krwawych starć doszło w Warszawie, Toruniu czy Radomiu. Chłopi się nie ruszyli, wstrzymywali też socjalistów. Centrolew wkrótce się rozpadł, dla opozycji stało się jasne, że nie wygra z sanacją za pomocą kartki wyborczej.

A.F.: Opozycja znalazła się w impasie, nie wiedziała, co robić. Liderzy partii wchodzących w jej skład byli zbyt propaństwowi, by odpowiedzieć na przemoc terrorem politycznym. Inna sprawa, nie byli naiwni, by liczyć, że obalą rząd demonstracjami, gdy policja i wojsko stoi murem za Piłsudskim. Ale typowe w demokracji działanie polityczne, np. wystąpienia na forum sejmu, stały się głosem wołającego na puszczy. Sanacja i tak robi, co będzie chciała. Ten klimat zablokowania, niemożności sprzyjał radykalizacji postaw i programów. Praktycznie w każdym stronnictwie pojawili się działacze, zwykle młodzi, którzy uznali, że tylko na ulicy, w akcji bezpośredniej są w stanie zaszkodzić sanacji. Zaczęło się zmienianie programów politycznych w stronę coraz bardziej ideologiczną, wymyślanie ustroju Polski na nowo. Najdalej w tym zakresie poszedł ONR, który liczył na doprowadzenie do stworzenia monopartyjnej dyktatury prawicowej, a z nią gospodarki etatystycznej. O wielkich zmianach struktury ekonomicznej po rozpadzie dotychczasowej w wyniku kryzysu marzyli socjaliści. Młodzi ludowcy projektowali agraryzm – gospodarkę opartą na wsi i rolnictwie z małym udziałem przemysłu. W endecji rozwijano projekty odejścia od wielkiego przemysłu ku upowszechnieniu drobnych warsztatów jako podstawy gospodarki. Na prawicy narastały agresywny antysemityzm, opowiadanie się za eliminacją Żydów z handlu i rzemiosła, a także z uniwersytetów i zawodów inteligentkich. Zmuszenie Żydów do ucieczki z Polski – a tak to sobie wyobrażano – miało oznaczać przejęcie ich warsztatów pracy przez Polaków i stworzenie szerokiej warstwy polskiego drobnomieszczaństwa.

Wrzesień 1930 r. okazał się też ogromnym rozczarowaniem dla inteligencji radykalnej, która wcześniej popierała Piłsudskiego. Pozbyła się złudzeń odnośnie do reform modernizujących kraj. W efekcie zaczęła skrecać w lewą stronę. Nie była to jednak grupa liczna, przegrywała w konfrontacji z o wiele silniejszym nacjonalizmem i antysemityzmem.

I.M.: Skręt w lewą stronę dobrze widać w środowisku Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela (dalej: LOPCiO), organizacji elitarniej zrzeszającej jednak wielu wpływowych prawników, intelektualistów, polityków i działaczy społecznych, takich jak Maria Dąbrowska, Stanisław Thugutt czy Andrzej Strug, którzy w pierwszym odruchu poparli zamach, ale później stali się krytykami sanacji. Sama Liga też udzieliła piłsudczykom kredytu zaufania, a właśnie po sprawie brzeskiej wyraźnie zmieniła kurs i przeszła do opozycji. Krytykowała otwarcie sposób traktowania więźniów politycznych, w tym komunistów, wypowiedziała się przeciw sądom doraźnym, rozwinęła całą kampanię przeciwko praktyce osadzania przeciwników politycznych w Berezie Kartuskiej. Wyraźnie też radykalizowała się w lewo, stając się pod koniec

lat trzydziestych platformą kontaktu pomiędzy socjalistami a komunistami. Tę ewolucję LOPCio można odnieść szerzej – do części inteligencji postępowej.

A jak to przebiegało wśród mniejszości i w innych obozach politycznych? Na przykład Witold Kulerski, wydawca prasy peeselowskiej, sekretarz Stanisława Mikołajczyka w Londynie, wręcz zionął nienawiścią do sanacji. O czym wiemy z opublikowanych jego rozmów z synem Wiktorem.

J.M.: Postawa propaństwowa, o której wspomniał prof. Friszke, charakteryzowała przywódców PPS. Widać to dobrze w latach trzydziestych, kiedy radykalizm lewicy niekomunistycznej był jedynie werbalny. Podczas strajków, wspieranych przez socjalistów, hasła polityczne pojawiały się sporadycznie, by nie utrudniać realizacji postulatów strajkowych. Ludowcy tych hamulców nie mieli. Lata 1932–1933 to czas ostrych wystąpień chłopskich i brutalnych pacyfikacji chłopskich protestów w Galicji. Owa niechęć czy wręcz nienawiść w ruchu ludowym do sanacji wyrastała z trzech przesłanek. Pierwsza to aresztowanie Witosa, postawienie go przed sądem w procesie brzeskim, wreszcie zmuszenie do emigracji. Dla ludowców był bohaterem, charyzmatycznym przywódcą, wyrazicielem postulatów, marzeń i pragnień polskiej wsi. Przypomnijmy, że wrócił zza granicy dopiero w 1939 r., a po przyjeździe został aresztowany.

Druga przesłanka pryncypialnie antysanacyjnej postawy wynikała z sytuacji wywołanej Wielkim Kryzysem, który ze szczególną mocą odbił się na kondycji mieszkańców wsi. Pieniądze praktycznie znikły z obiegu, pozostał poborca podatkowy, sanacyjny urzędnik. Dlatego nie tylko elity sanacyjne były znienawidzone, ale także cały aparat państwowy.

Negatywne emocje – to trzecia sprawa – wynikały również z prób sanacji wyeliminowania wpływów Stronnictwa Ludowego na terenach wiejskich i budowy tam alternatywnych struktur. Wspierali je po części ludzie, którzy odeszli z ruchu ludowego. Taką organizacją, która miała na celu poszerzenie pola oddziaływania piłsudczyków, był Związek Strzelecki, na wsi postrzegany jako uosobienie znienawidzonego aparatu sanacyjnego. Nierzadko wchodził w rolę sanacyjnych bojówek mających rozbijać inicjatywy ludowców.

Głównie na Kresach wybija jeszcze jedna różnica między radykalizującymi się środowiskami studenckimi, o których mówiła dr Mrzygłód, a ludnością chłopską, a mianowicie konflikt klasowy. Chłopa można było poniżyć, pobić. Policja nie traktowała ich jako pełnoprawnych obywateli. Z szacunkiem podchodziła natomiast do studentów, których szybko zwalniała z aresztu bądź więzienia po wysłaniu dokumentów do rektora, ten zaś zwykle na ich przewiny patrzył łaskawym okiem. Studenci mogli się więc czuć bezkarni. Widoczna była różnica postawy państwa wobec inteligenta i chłopa.

Kondycja materialna polskiej wsi, traktowanie jej mieszkańców przez aparat państwowy miały daleko idące konsekwencje dla patrzenia na okres międzywojenny już w Polsce ludowej. Chłopi pamiętali ówczesne poniżenie, biedę i oczywiście niespełnioną obietnicę reformy rolnej.

I.M.: Zmianę postaw widać również w Centralnym Związku Młodzieży Wiejskiej (dalej: CZMW). Młodzi z tego kręgu darzyli Piłsudskiego dużym szacunkiem i po zamachu majowym spodziewali się, że piłsudczycy podejmą się radykalnych reform społecznych. Wkrótce jednak okazało się, że sanacja świetnie dogaduje się z ziemiaństwem i kołami przemysłowymi. Wśród części młodzieży wiejskiej radykalnie zmalała wiara, że państwo zadba o ludność chłopską. W 1928 r. w CZMW doszło do rozłamu na tle stosunku do sanacji oraz jej dążeń do ograniczenia niezależności związku. Opozycja utworzyła Związek Młodzieży Wiejskiej RP, tzw. Wici, które w latach trzydziestych zyskały duży wpływ na młodzież chłopską, promowały agraryzm i bardzo progresywny program społeczny. I były w ostrej opozycji do sanacji.

A jak komuniści reagowali na to, co działo się w kraju?

A.F.: W Komunistycznej Partii Polski od zamachu majowego aż do 1929 r. trwała walka frakcyjna między „większością” a „mniejszością”. Walkę tę z poparciem Kominternu wygrała „mniejszość”, ultraortodoksyjna, sekciarska, która głosiła, że wszystkie ugrupowania legalne, sanacja, PPS, ludowcy to faszyci. Więc nie ma po co wychodzić ze swoim przekazem do szerszych środowisk, tylko trzeba liczyć na kryzys, polaryzację, wzrost poczucia beznadziejności i dążyć bezpośrednio do rewolucji, zadania jednego ciosu, który obali kapitalizm i to państwo „burżuazyjno-faszystowskie”. Ponadto od 1926 r. komuniści nieustannie głosili, że Piłsudski w porozumieniu z Anglią za chwilę uderzy zbrojnie na ZSRR, więc najważniejsze zadanie komunistów stanowi obrona Związku Radzieckiego. Efektem jest postępująca w pierwszej połowie lat trzydziestych marginalizacja komunistów.

Tracą oni również wpływy wśród mniejszości narodowych na terenach wschodnich. Białoruski i ukraiński ruch narodowy uznali za groźny, bo może być przez Piłsudskiego wykorzystany przeciw ZSRR. W tym czasie następuje więc rozprawa z „nacionalistami” ukraińskimi w ZSRR i to przekłada się również na Komunistyczną Partię Zachodniej Ukrainy. W efekcie następuje odpływ ukraińskiej młodzieży od komunistów do OUN, a ten proces dodatkowo wzmacnia to, co się dzieje na radzieckiej Ukrainie – kolektywizacja i wielki głód. To jest więc jeden z niezwykle istotnych momentów dla ewolucji ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego, bo w jego obręb wchodzi element bardzo radykalny, niejako wypchnięty z ruchu komunistycznego.

Wspominaliście młodych chłopów, młodych narodowców. Czy sanacja nie umiała znaleźć wspólnego języka z pokoleniem Polski niepodległej?

I.M.: Powiedziałabym, że politycznie sanacja przegrała młode pokolenie. Naturalnie, pozytywnym skutkiem wychowania państwowego było socjalizowanie młodych ludzi w przywiązaniu do polskiej kultury i państwa. I często tzw. pokolenie Kolumbów widzi się jako sukces wychowawczy tego okresu. Jednak obóz władzy po 1926 r., pomimo wysiłków chociażby Adama Skwarczyńskiego, nie potrafił trafić do młodych ze swym przekazem politycznym. Sanacja podjęła w pewnym momencie walkę z endecją o rząd dusz wśród młodzieży. Utworzone zostały Legion Młodych i Straż Przednia jako organizacje konkurencyjne do OWP i Narodowej Organizacji

Gimnazjalnej. Później od polityki przyciągania młodzieży sanacja przeszła do prób jej zdyscyplinowania. W 1933 r. OWP zostało zdelegalizowane, a potem ten sam los spotkał powstały w kwietniu 1934 r. w środowisku studenckim ONR. I choć zradykalizowani studenci, jako dzieci z inteligenckich domów, mieli taryfę ulgową u władz, to przecież Bereza Kartuska powstała najpierw dla działaczy ONR posądzonych o zabójstwo Bronisława Pierackiego.

Ostatecznie jednak metoda marchewki i kija nie zadziałała. Na uniwersytetach duża część studentów opowiedziała się po stronie nacjonalistycznej prawicy z jej pomysłami na budowę katolickiego państwa narodu polskiego, imperialnymi koncepcjami i rosnącym w siłę antysemityzmem. A dobrze znane wydarzenia w Przytyku czy wystąpienia w Kieleckiem pokazują, że również antysemicka agitacja wśród młodych chłopów przynosiła plon polityczny. I nawet jeśli ten zwrot w prawo nie dotyczył wszystkich, to z pewnością odchodzili od sanacji. Był to też wyraz buntu i sposób wyemancypowania się spod wpływów starszego pokolenia, które w odczuciu młodych zawiodło.

Z opisu następstw zamachu wyłania się dość ponury obraz – tylko konsekwencje negatywne. I 12 maja 1936 r. nie był chyba obchodzony hucznie przez samą sanację, nie był traktowany jako akt założycielski czy transformujące wydarzenie na miarę zburzenia Bastylli, które przyczyniło się do przebudowy społeczeństwa. Z naszej dyskusji wyłania się raczej obraz rosnącej polaryzacji i wytworzenia się kultury politycznej, w której nie było miejsca na merytoryczny spór, a do tego budowy zrębów autorytaryzmu i depolityzacji społeczeństwa, których ślady widoczne są w PRL. Nawet w listach do Edwarda Gierka z lat siedemdziesiątych widać pewne ślady kultu Marszałka. Czy moja diagnoza dotycząca tego zamachu majowego jest zbyt surowa?

A.F.: Żeby odpowiedzieć na to pytanie, musielibyśmy wejść w historię alternatywną. Czy gdyby lewica i centrum, czyli Centrolew, przejęli władzę, to by się inaczej potoczyło, powstała inna kultura polityczna i Polska byłaby stabilna? Można przypuszczać, że endecja tego układu sił nie zaakceptowałaby. A gdyby władzę przejął OWP, realna siła pod koniec lat dwudziestych, to by zdelegalizował i PPS, i radykalnych ludowców, bo oni to głosili jawnie. Dla komunistów, masonów i Żydów, bardzo pojemnych kategorii, nie było miejsca we wspólnocie narodowej. Pytanie zatem, czy istniała lepsza alternatywa? Ja jej nie widzę, muszę powiedzieć.

J.M.: Jeśli chodzi o rocznicę zamachu, to byli wśród sanacyjnych polityków wariaci, którzy chcieli ją uczcić. Pojawiały się głosy, że powrót Marszałka do władzy i walki majowe, pomimo 400 ofiar śmiertelnych, to rzecz warta świętowania. Jeżeli zaś chodzi o ocenę przewrotu, to widziałbym pozytywy. Niepodważalnym osiągnięciem jest przyspieszenie procesu modernizacji dzięki wsparciu państwa i szybszym procesom decyzyjnym, które zapewniała ta forma rządów. Do tego integracja trzech organizmów pozaborowych i unifikacja praw, czyli sprawne wdrażanie propozycji komisji kodyfikacyjnej. Brak konieczności liczenia się z parlamentem, a przede wszystkim wykorzystanie rozporządzeń prezydenta z mocą ustawy ułatwiały te działania.

I gros z tych rzeczy przetrwało II wojnę światową. Inna rzecz, że ta kontynuacja pewnych rozwiązań w PRL wychodzi też i przy zagadnieniach mniej sympatycznych. Przykładem może być dekret z listopada 1938 r. o ochronie interesów państwa, który wprowadzał za słuchanie niektórych stacji zagranicznych radiowych karę trzech lat więzienia. W miejsce Radia Moskwa można wstawić Radio Wolna Europa czy Głos Ameryki i represje gotowe.

Problem alternatywy jest jednak kluczowy. Centrum, lewicy czy radykalnej inteligencji piłsudczycy mogli się nie podobać, ale cały czas musieli mieć świadomość, że alternatywą jest obóz narodowy, i to w wydaniu chłopców spod znaku OWP czy ONR.

I.M.: Zanim wydamy wyrok na sanację, spojrzalabym jeszcze na kontekst europejski i zapytała, czy istniały warunki w tamtym okresie dla rozwoju demokracji liberalnej. Po krótkiej fali demokratyzacji po Wielkiej Wojnie całe międzywojnie to czas głębokiego kryzysu demokracji i liberalizmu. Radykalizacja dotyka wszystkie ruchy polityczne, a Mark Mazower w pracy *Dark Continent. Europe's Twentieth Century* nazwał ten okres mianem „europejskiej wojny domowej” między lewicą a prawicą.

W 1926 r. do zamachu stanu doszło również w Portugalii i na Litwie, co było wstępem do ustanowienia rządów autorytarnych. Rok później w Wiedniu spłonął Pałac Sprawiedliwości, co z kolei dołało oliwy do ognia konfliktu politycznego, a w 1933 r. powstało w Austrii państwo stanowe Engelberta Dollfussa. Jak ujął to Paul Valéry, francuski poeta i eseista, w międzywojniu dyktatura stała się zaraźliwa. Nawet w Czechosłowacji, która tak lubi uchodzić w tym okresie za ostatni bastion liberalnej demokracji w Europie Środkowej, widać napięcia, a gdy przyjrzymy się dokładnie funkcjonowaniu systemu politycznego, to zobaczymy, że była to raczej demokracja z wyraźnie rozpisanymi rolami między głównymi partiami politycznymi.

Poza ugruntowanymi systemami demokratycznymi właściwie cała Europa ciążyła ku rozwiązaniom autorytarnym. To nie zdejmuje odpowiedzialności z piłsudczyków, ale wskazuje na pewien *zeitgeist* i horyzont ówczesnego myślenia. Demokracja uważana była za system, który się wyczerpał i nie zdał egzaminu w starciu z wyzwaniami, przed którymi stanęły państwa narodowe. Dziś wiemy, że również rządy autorytarne nie sprostały oczekiwaniom i nie przyniosły rozwiązania kluczowych problemów społecznych.